

ROZDZIAŁ



Ironia losu – te dwa słowa prześladowały go od miesięcy. Nie potrafił myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że przeznaczenie, los, Pan Bóg, czy kto tam tym wszystkim steruje, lecą z nim w chuja i to bez trzymanki.

A może wcale nikt tym nie sterował, może po prostu Damian szukał winnego, którego mógł obarczyć za swoje niezbyt udane życie.

Próbując znaleźć źródło swych niepowodzeń, cofał się pamięcią do szarej rzeczywistości późnego socjalizmu, wspominał dręczące go pragnienie opuszczenia zasraniutkiej ojczyzny w owym czasie wypełnionej po brzegi cwaniakami, krętaczami i innymi złodziejami, którzy to – poprzebierani w szaty polityków, urzędników i księży – rznęli z zapalem biedne społeczeństwo w cztery litery, aż żal było patrzeć.

Pamiętał ludzi grających swoje życiorysy, pamiętał strach o to, że każdy następny dzień będzie podobny do tego, jaki się właśnie kończył, że już na zawsze

pozostanie w tym beznadziejnym świecie, otoczony bezdusznymi manekinami.

Najbardziej jednak bał się tego, że sam stanie się częścią tej rzeczywistości, że wtopi się w końcu w ten krajobraz, że, aby przeżyć w tym świecie układów, będzie musiał sprzedać tę część swojego charakteru, bez której przestanie być sobą.

Ucieczka wydawała się jedynym wyjściem dającym szansę na normalne życie, takie, w którym, uczciwie pracując, nie trzeba martwić się o płacenie bieżących rachunków.

Wspominał Berlin – to tam był ten „pierwszy raz”, kiedy jako nastolatek przekroczył granicę pomiędzy systemami. Jakby stracił dziewictwo z Natalie Portman. Najpierw uderzyły go kolory, a potem szok, z którego długo nie potrafił się otrząsnąć. Zdominowało go uczucie zachwytu nad pięknem zachodniego świata, uśmiechniętymi ludźmi, muzyką, wystawami sklepowymi, wspaniałymi samochodami.

Radość mieszała się z żalem za tym rajem nie-uświadomionym, żalem nad samym sobą, że nie należy do tego świata, choć w głębi duszy tak bardzo do niego pasuje.

Jezu, zmarnował całe dotychczasowe życie tam, na tamtym padole, już nigdy nie nadrobi tych wszystkich lat. Zamiast szarego świata, mógł istnieć ten,

wypełniony możliwościami, wolnością słowa i poglądów. To właśnie wtedy – w Berlinie – dotarło do niego, jak bardzo nienawidzi Polski, wtedy też obiecał sobie, że jak tylko będzie miał taką możliwość, zostawi ten wypełniony beznadzieją kraj i nigdy do niego nie powróci.

Siedział i wspominał te wszystkie lata wciskania kytu o wyższości idei bratnich narodów nad podłym kapitalizmem, o potrzebie reform, o kryzysie tylko tymczasowym, o chwilowej potrzebie zaciśnięcia pasa, o historii przyjaźni polsko-radzieckiej.

– Wypierdalać, kurwa, ode mnie! – wykrzyczał hasło, które stało się sposobem na życie, określiło kierunek prowadzący na drugi koniec Europy, gdzie, siedząc na postoju taksówek w irlandzkim Galway, zastanawiał się nad ironią losu, egzystencjalnym sensem, istnieniem Boga, czy też jego brakiem.

– Jak się masz? – Z filozoficznej zadumy wyrwało go to durne pytanie o samopoczucie zadawane tu w miejsce normalnego przywitania.

Chujowo! – pomyślał, patrząc tępo przez okno samochodu na objuczoną torbami babę.

– Dobrze, a jak ty się masz? – odpowiedział, pomagając babie załadować zakupy do bagażnika.

Ja pierdołę, co najmniej jakby mnie obchodziło, jak ona się ma, niech wlezie do samochodu, mówi, gdzie chce jechać i siedzi cicho.

– Siąpi dzisiaj – stwierdził oczywistość babsztyl i już wiadomo było, że nie zamierza siedzieć cicho, że musi tą jadaczką kłapać, bo to takie uprzejme mówić coś do kierowcy. Szczególnie obcokrajowca.

Jezu i znowu te same pytania, o to, jak się nazywa, o ruch, a skąd jest, a gdzie mieszka, a ile ma dzieci, a o której kończy?

Szkoda, że nie zapyta, czy srałem dzisiaj albo czy staje mi regularnie, czy wierzę w Boga i kocham swoją matkę – myślał, przerażony perspektywą powtórzenia tysięczny raz tej samej formuły.

– Lubisz Chopina? – zagadnął pospiesznie, próbując nie dopuścić do standardowej wymiany zdań.

– Nie, nie, zrobiłam już zakupy. Jak masz na imię?

Nie no, kurwa, zwariuję zaraz, Chopin się prymitywnej kłępie z shoppingiem kojarzy tylko.

– Nie, mam na myśli Chopina. Lubisz Chopina? – powtórzył pytanie, jednocześnie ustawiając głośniej muzykę. Łagodne piano wypełniło taksówkę.

– Już byłam w sklepie, chcę do domu, na Garavogue Villas, proszę. Skąd jesteś?

– Z dupy, a na imię mi gówno! – rzucił po polsku. Był na granicy szaleństwa, po latach w komunie, po ucieczce z tamtego bagna, siedział teraz w samochodzie z tym przygłupem, rozpaczliwie próbując odmienić rzeczywistość. – Muzyka, czy podoba się muzyka? Chopin, nie shopping, to, co leci teraz, czy się podoba...? – próbował za wszelką cenę, nie chcąc się

poddać. Czuł, że musi zawalczyć tu i teraz o tę jedną chwilę wyrwaną z koszmaru rutyny.

– Aaa, muzyka, taka leniwa jakaś, usypiająca, o której kończysz? – Babok patrzył na niego niewidzącymi oczami, nie chcąc, a może nie mogąc dostrzec jego rozpaczy.

– Jestem Damian, z Polski, mieszkam tu od ośmiu lat, w Galway znaczy, bo rok w Dublinie jeszcze trzeba doliczyć, żonę mam, dzieci nie, lubię Irlandię, zostanę tu przez jakiś czas – wyrzucił z siebie jednym tchem. Przegrał tę bitwę. Zresztą jak miał wygrać z tym prymitywem, walcząc Chopinem?

Ten bezduszny babol wyżał z niego ostatki pozytywnego nastawienia, teraz to już musiał się napić.

Do wieczora będzie myślał tylko o tym, co kupić – piwko czy może lepiej winko, wódka nie wchodziła w rachubę, bo skończyłoby się tygodniówką, a na to nie mógł sobie pozwolić.

Tak, winka walnie sobie szklaneczkę na raz i już po minucie przyjemne ciepło uderzy z żołądka prosto do głowy, po drugiej szklaneczce przejdzie uczucie żalu nad samym sobą, po trzeciej zapomni o całym strachu o własny los, po czwartej będzie się śmiał lub płakał, a piątej nie będzie pamiętał.

– Gdzie żona pracuje? – Kolejne z długiej listy powtarzanych jak mantra pytań przywróciło go do rzeczywistości, do świata recesji, kryzysu klimatycznego, wojny z terroryzmem, świata wyścigu

szczurów, gdzie wartość człowieka mierzono stanem jego konta, wrócił do świata, którego Damian, syn Mariana i Zdzisławy, miał serdecznie dosyć.

– Żona na bezrobociu, ale bez zasiłku... – odpowiedział z nutką żalu w głosie, nastawiony na wyduślenie z krowy jakiegoś napiwku.

To był sposób „na współczucie” – Damian dysponował całym wachlarzem różnych emocji dobieranych do różnych klientów. Pomagały czasem podwyższać taksówkowe dochody.

– Dlaczego tu siedzicie? Taki ładny kraj macie, rozmawiałam z Katriną z Centry, tam na Macherboy Road, i mówiła mi, jaka Polska ładna.

– Jak taka ładna, to czemu Katrina w Centrum siedzi, a nie w Supersamie gdzieś w Wałbrzychu?

Damian wiedział, że już po napiwku. Za dużo złości wsadził w ten komentarz, baba zamilkła, myśląc sobie o tym Polaczku, że jakiś taki nieuprzejmy.

On się tym nie przejął, pierdolił jej napiwek, byleby już do końca trasy nie zadawała żadnych durnych pytań. Ładna Polska, owszem, pomyślał, może i ładna, ale już nie dla niego. Był ugotowany kredytem hipotecznym, co mu go w czasie boomu na dom dali. Teraz, nawet gdyby dom sprzedał, to i tak zostałyby z kosmicznym długiem w banku. Miał przesrane, wszystkie lata ciężkiej pracy przepały, bo te durne pastuchy wybudowały czterdzieści

tysięcy pustostanów, rujnując tym samym rynek nieruchomości oraz gospodarkę całego kraju.

O ironio, uciekł od kretynów malujących trawę na zielono, trafił do raju zbudowanego na bańce kredytów mieszkaniowych. Mało tego – był tak zachwycony, że nim się zorientował, już gonił w materialnym wyścigu, najpierw szybka kariera w fast foodzie, potem kredyt na samochód i dom. Pamiętał ten moment, gdy rozpierało go szczęście, poczucie, że wreszcie osiągnął wymarzony sukces. Pracował w wielkiej korporacji, stać go było na egzotyczne wczasy, jeździł nowym samochodem zakupionym w dobrym salonie, czuł, jak łapie pana Boga za nogi, aż tu nagle jeb i bańka pękła, bańka kredytów, marzeń, wizji szczęścia i udanego życia.

– Gdzie jedziesz, przegapiłeś mój zjazd! – baba nagle rozdziawiła śmierdzącą japę. – Kto za to zapłaci? – Smród zepsutych zębów rozlał się po samochodzie.

– Ja zapłacę, przepraszam – wyjęczał Damian całym załamany.

– Nie jesteś skupiony – rzucił babsztyl. – Będzie mnie teraz wiózł naokoło...

Ja pierdolę, co za dzień – myślał. Patrzył na babę, ta kiwała z politowaniem głową. Miał ochotę zatrzymać samochód, wysiąść i uciec jak najdalej.

Cały świat grał przeciwko niemu do jednej bramki, każda podejmowana przez niego decyzja wydawała

się z góry przegrana, bo rzeczywistość wokół niego zmieniała się w taki sposób, żeby dokopać właśnie jemu. Wyjechał do kraju, który rozwijał się najszybciej w Europie, harował jak wół, rzetelnie i uczciwie podchodząc do wszystkiego, czym się zajmował. Zaczynał od czyszczenia popielniczek w pubie na Tempel Barze, składał kanapki w Burger Kingu. Do dzisiaj pamiętał, jak właściciel baru wahał się, czy zatrudnić Polaka bez znajomości języka angielskiego. Damian tej roboty naprawdę potrzebował, tłumaczył mu więc na migi, że za darmo popracuje trochę, żeby pokazać, że się nada, że bariera językowa to nie problem. Pamiętał, jak tamtego wzruszyło, że za darmo ktoś chciał robić. Dostał tę pracę od razu.

Przez moment czuł się szczęśliwy, wiedział, że dzięki tym dwóm etatom będzie mógł zapłacić za bilet dla żony, że może miesiąc, może dwa i będą razem, a to było dla nich zawsze najważniejsze.

Pamiętał to uczucie, kiedy ze łzami w oczach dzwonił z kabiny do rozmów internetowych przy O'Connell Street w Dublinie, informując swoją ukochaną, że dostał drugą pracę, że teraz to wszystko przyspieszy. Płakali razem ze szczęścia, długo nie mogąc się nacieszyć tym, jak los im sprzyja.

Nie wiedzieli, jak przewrotny potrafi być ten los. Teraz Damian myślał o swoim szczęściu w kategorii czarnego humoru i był przekonany, że gdyby wyjechał do Australii, to ta zapadłaby się pod wodę jak

Atlantyda, a gdyby zainwestował w akcje rafinerii, to ludzie zaczęliby jeździć samochodami na wodę. Gdyby zaczął kupować złoto, ktoś wymyśliłby, jak tanio produkować je domowym sposobem. Miał wrażenie, że Bóg z niego po prostu kpi, a jego życie to sen wariata.

– Pomożesz mi z tymi torbami? – Baba wierciła się niespokojnie, szukając w portfelu drobnych.

– Jeszcze może cię do domu zanieść, tłuściochu jeden? – zapytał po polsku. – Yeah sound – dodał w miejscowym slangu, patrząc na twarz klientki.

Ta wyrażała mieszankę oburzenia i zdziwienia, że ten negatywnie nastawiony obcokrajowiec śmie do niej mówić coś we własnym języku.

Damian wiedział, że nie zachowuje się właściwie. Z bólem zauważał swoją negatywną przemianę. Jeszcze parę lat temu widziałby w tej kobiecie ciekawy element folkloru, otworzyłby drzwi, popisując się wschodnioeuropejską kulturą, zabawiłby rozmową na temat polskiej historii oraz zapewnił o wielu mianownikach łączących oba narody.

Coś się jednak po drodze zmieniło, frustracja – kropla za kroplą – wypełniała Damianowe serce goryczą i żalem, zatruty umysł postrzegał wszystko negatywnie, słowa coraz częściej syczały nienawiścią.

– Pomożesz mi z tymi zakupami. – Baba знала konsumenckie prawa, wiedziała, że kierowca takśówki udzielić pomocy po prostu musi.

Oczywiście telefon zaczął dzwonić w czasie, kiedy Damian – objuczony torbami – zmierzał w kierunku babiej nory.

Już dawno zauważył, że gdy ma ten swój wisielczy nastrój, to wszystko gra przeciwko niemu, jakby cały świat wyczuwał, że jest słaby, a wiadomo – na pochyłe drzewo kozy skaczą.

Z drugiej strony, zdrowy rozsądek wołał o opamiętanie: jak to cały świat gra przeciwko niemu?

Czysta paranoja. W takich chwilach czuł, że narastająca złość na wszystko, co się wokół niego działo, chce znaleźć ujście, że gdyby miał przed sobą kogoś, kogo mógłby obarczyć winą za swój parszywy los i trzymałby w ręku nóż, to uderzyłby nim wiele razy.

– Telefon dzwoni – stwierdziła Baba.

– Słyszę, kurwa, że dzwoni, ale nie mogę odebrać, bo przecież te cholerne torby, przecież nie rzucę ich na ziemię, bo powiesz, że ci jajka pobitem – mruczał pod nosem Damian.

Telefon przestał dzwonić w chwili, gdy kładł torby na podłodze w przedpokoju. Rundka właśnie poszła się jebać, kiedy zadzwonił na nieodebrany numer, usłyszy:

– Sorry, ale zamówiliśmy kogoś innego, bo nie odebrałeś...

Zjeżdżał po równi pochyłej, był zmęczony, rozbity, sfrustrowany i zawiedziony.

Nienawidził siebie, sąsiadów, dawnych przyjaciół, którzy robili karierę w Polsce, nienawidził Boga.